

# MATA HARI Z KONSULATU

(felieton historyczny)

*Mečislav Borák*

Sławna kobieta-szpieg z lat pierwszej wojny światowej – holenderska tancerka Marghartha Geertruida Zell, zwana Mata Hari (Światło Dnia) zainspirowała być może pewną damę z polskiego konsulatu w Ostrawie. O „aferze szpiegowskiej” tej pani wypowiadają dokumenty złożone w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Lecz chociaż i ona starała się w roli szpiega wykorzystać swoje niewątpliwe kobiece wdzięki, klasy sławnej tancerki nie osiągnęła. Nasz felieton opowie o wydarzeniu sprzed połowy wieku. Emocje tamtych lat dawno opadły, dziś jest to tylko zabawny epizod, który – tak przynajmniej sądzę – nikogo nie może urazić.

Gość, który 1 lipca 1950 r. nieoczekiwanie wtargnął do budynku okręgowej komendy Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego w Ostrawie, wywołał wśród pracowników niemałe poruszenie. Gościem tym była modnie ubrana młoda dama o wyglądzie i zachowaniu dość ekstrawaganckim. Jej delikatną twarz szpeciła czarna opaska przekrywająca prawe oko, spod brzegów opaski wylażył kłak waty. Dama przybyła w towarzystwie swego dozorczy i przedstawiła się jako Lydia Koscznicka (tak zapisano w czeskich dokumentach), żona urzędnika polskiego konsulatu w Ostrawie. Oslupiałej służbie przy wejściu oznajmiła, że zamierza złożyć ważne oświadczenie na temat współpracowników obcych służb wywiadowczych, z którymi właśnie nawiązała kontakt.

Funkcjonariusze nie kryli zakłopotania; nigdy przedtem jeszcze nie mieli tu takiej sprawy. Tak więc w czasie, kiedy kilku z nich starało się zabawić młodą damę lekką konwersacją, naczelnik zmiany sprawdzał telefonicznie u swoich przełożo-

nych, czy w ogóle jest upoważniony do przesłuchiwania w tych sprawach obywatela obcego państwa, w dodatku osobę należącą do kół dyplomatycznych kraju przyjaźnionego. Naczelnik okręgowy po chwili wahania udzielił zgody na wstępne przesłuchanie. Zlecono je nadwachmistrowi Jindřichowi Kosňovskiemu. Dama usiadła wygodnie i zaczęła mówić.

Dzień wcześniej, czyli w piątek 30 czerwca 1950 r., na stadionie Sokoła w Ostrawie-Mariańskich Górach spotkała znajomego, miejscowego obywatela, Jindřicha Konopáča. Ten podczas rozmowy wyznał jej poufnie, że utrzymuje kontakty z zachodnimi służbami wywiadowczymi. Od niej chciał się dowiedzieć, co dzieje się w konsulacie, o czym się tam rozmawia i tym podobnie. Zaoferował jej nawet załatwienie pistoletu! Tylko strach powstrzymał ją od natychmiastowej odmowy, lecz teraz nie wie, co począć, gdyż 3 lipca w tym samym miejscu ma się odbyć kolejne spotkanie. Przyszła więc prosić panów funkcjonariuszy o radę. Co ma zrobić?

Załamala dłonie i błagalne spojrzenie swego oka wpiła w nadwachmistrza Kosňovskiego. Skazę na swojej urodzie wytłumaczyła zresztą od razu na wstępie: zaraziła się pospolitą infekcją oka, tzw. jaskrą. Nic w tym dziwnego, na stadionach bywa wietrzno, jest wiele kurzu. Wyjaśnienie brzmiało przekonująco.

Kiedy jednak w kilka dni później zjawiła się ponownie na komendzie, tym razem już bez opaski, zakryte wcześniej oko zdołał wyraźny siniec, który nie zdołała zatuszować ani gruba warstwa pudru. W tym czasie krążyły już pogłoski, że tej „ozdobę” sprezentował jej małżonek, kiedy się dowiedział, że na stadionie „Sokoła” całowała się z Konopącem.

Funkcjonariusze poradzili pani Lydii, żeby udała się na spotkanie z „agentem” Konopącem i dokładnie go wypytała, o co mu chodzi. Uzgodnili, że zaraz po tym spotkaniu przydzie na pewne określone ustrome miejsce i wszystko opowie. I rzeczywiście, 3 lipca pani Lydia czekała w umówionym miejscu, wsiadła do służbowego samochodu Urzędu Bezpieczeństwa i zdała relację funkcjonariuszom. Spotkała się z Konopącem, ale tylko na chwilę, ponieważ na stadionie był także jej zazdrosny mąż. Konopáč zdażył jej powiedzieć tylko tyle, że wie już o tym, iż zadenuncjonowała go w Urzędzie Bezpieczeństwa. Później, niby od niechcienia, pani konsulowa napomknęła, że krążą pogłoski, jakoby konsul Wengierow miał być odwołany. Przy tym patrzyła badawczo na swoich rozmówców, jakby chciała sprawdzić, jakie wrażenie robi na nich ta informacja. Policjanci mieli jednak miny nietęgie, marzyli pewnie o tym, żeby cała ta sprawa czym prędzej zesła ze stołu.

W dwa dni później znów przybyła do budynku Urzędu Bezpieczeństwa, chociaż ją prosili, żeby zachowywała się mniej ostentacyjnie. Stanowczo domagała się widzenia z nadwachmistrzem Kosňovským, którego, widać, do tego stopnia sobie upo-

dobala, że koledzy musieli zatajać jego obecność twierdząc, że wyjechał służbowo. Podobnie było 1 sierpnia, kiedy przyszła znowu – Kosňovskiego i tym razem nie było. Wtedy jednak nie dała za wygraną i zameldowała o nowej sprawie:

Wieczorem robiła zakupy w sklepie „Pramen” w Mariańskich Górach i tam spotkała niejakiego Františka Hajdę, który zaproponował jej wycieczkę za miasto. Wspomnił, że wie o jej donosie na Konopáča w Urzędzie Bezpieczeństwa i chce na ten temat z nią porozmawiać. Czy ma pojechać na tę wycieczkę?, pytała. Funkcjonariusze starali się uniknąć odpowiedzi, ostatecznie jednak nie pozostawało im nic innego, jak tylko znowu obiecać jej pomoc. Za kilka dni oznajmiła pracownikom Urzędu, że Hajda jest chory i wycieczka została o tydzień przesunięta.

Funkcjonariuszom kończyła się cierpliwość i okręgowa komenda Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego wydała nakaz zaprzestania jakichkolwiek kontaktów z tą damą. Dano jej to wyraźnie do zrozumienia 9 sierpnia, kiedy po raz ostatni próbowała się telefonicznie skontaktować z UB.

Kiedy w pół roku później zamykano „afere szpiegowską” prowadzący śledztwo w raporcie do ministra spraw wewnętrznych, Ladislava Kopřivy, rozważali kilka wersji, które tłumaczyły dziwne zachowanie pani Lydii. Wzięli pod uwagę przypuszczenie, że mogła być nasłana przez samego konsula, Stefana Wengierowa, żeby stwierdzić, czy konsulem nie interesują się przypadkiem czechosłowackie służby bezpieczeństwa. Polski UB bowiem w tym czasie już się nim interesował. Wengierow podobno umknął kilka razy samochodem z granicy służbom celnej i paszportowej OPK i nowym władzom zaczynał się nie podobać. W sierpniu 1950 r. rzeczywiście zdjęto go z urzędu, tak jak pani Lydia przewidywała. Innym wytłumaczeniem mógł być podobno nieokiełzany temperament pani Lydii, narzucającej się

funkcjonariuszom samym „swoim zachowaniem i wyglądem, w czym należało dopatrywać się przyczyn głęboko erotycznych”. Dlatego też, aby uniknąć podejrzeń, na wszystkie spotkania funkcjonariusze jeździli w trójkę. Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie mógł kryć jednak ów siniec pod okiem. Sińca pod pudrem nie dało się wprawdzie ukryć, ale romans można było przynajmniej częściowo zakamuflować sensacyjną opowiastką, której pozorów wiarygodności dostarczał sztafaż Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego.

Zaczynały się lata pięćdziesiąte i polowanie na imperialistycznych agentów coraz bardziej wchodziło do mody. Dlatego Urząd Bezpieczeństwa nawet tę wyraźnie zmyśloną historyjkę potraktował poważnie i wszystkie osoby w niej występujące sprawdził. Panowie, rzecz jasna, wypierali się jakichkolwiek powiązań wywiadowczych. Konopąć był jednak stale podejrze-

wany o kontakty z wywiadem angielskim, i to bez względu na to, że był członkiem partii komunistycznej. Bezpieka naciskała też jego kolegę, Hajdę. Przypomniała mu grzechy przeszłości, i jak podaje raport, został w końcu „przyparty do muru, pozyskany do współpracy i napuszczony na Konopąć”. Poza tym sprawa nie miała już dalszych odgłosów.

Kariera szpiegowska pani Lydii była więc krótka i niezbyt owocna, jeśli pominiemy fakt zażegnania burzy małżeńskiej. W odróżnieniu od kariery tamtej słynnej poprzedniczki miała jednak wielki priorytet – nie zakończyła się przed plutonem egzekucyjnym.

*Opracowano na podstawie dokumentów złożonych w Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RC w Brnie-Kanicach, zespół A 2/1, karton 67, nr inw. 1856.*

